

K I N G A T A T K O W S K A

ZŁOTY MROK

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

SKŁADAMY SIĘ ZE WSZYSTKICH LUDZI, KTÓRZY NAS BUDOWALI I NISZCZYLI.

SKŁADAMY SIĘ Z MROKU I TAJEMNIC.

K I N G A T A T K O W S K A

Z Ł O T Y

M R O K

PROLOG

Czuję, że śmierć jest blisko. Oblepia mnie swoimi maczkami – robi to powoli, wręcz z namaszczeniem. Jest tutaj ciemno i wilgotno. Gęsto. Napawam się spokojem, który po wielu latach właśnie do mnie przychodzi.

Ludzie mówią, że osiągają spokój, kiedy godzą się ze swoją przeszłością. To nieprawda. Nie można pogodzić się z przeszłością. Można ją co najwyżej zaakceptować.

To, co przynosi prawdziwą ulgę, to zemsta. A ci, którzy się jej oddają, tak naprawdę nie wiedzą, gdzie leży granica.

I to jest piękne.

– Kiedy nauczysz się kontrolować własne uczucia, możesz stać się kimś bardzo niebezpiecznym – mówię

do tej karykatury człowieka, która teraz wpatruje się we mnie z lękiem w oczach.

A ja karmię się tym strachem. Pożywiam się tą trwogą, która zlepia sponiewierane fragmenty mojej duszy.

Czas, by zakończyć naszą historię.

Czas, by zwrócić mi utracone życie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Inga

teraz, poniedziałek

Budzę się gwałtownie, bo słyszę, jakby nieopodal mnie właśnie ktoś zdetonował bombę. Huk jest ogłuszający. Otwieram oczy i – zanim zdążę przyzwycząć wzrok do ciemności – czym prędzej wypłatuję się z kołdry. Nawet nie kłopotzę się, by założyć kapcie. Zerkam tylko szybko na komórkę, by sprawdzić, która godzina. Druga osiemnaście w nocy. Otwieram drzwi od swojego pokoju i na boso idę w kierunku źródła światła. Zatrzymuję się w progu niewielkiej kuchni i patrzę na mamę.

Od razu wiem, że znajduje się w swoim szaleństwie.

Ma na sobie długą do kostek koszulę nocną, która lata świetności ma już dawno za sobą. Teraz jednak materiał poplamiony jest czymś na przodzie, możliwe, że mieszaną różnych produktów spożywczych, które

mama właśnie wyciąga zamasyście z lodówki i rzuca nimi o podłogę. Rozwalają się u jej stóp, robiąc niewyobrażalny bałagan. Bałagan, który ja będę musiała później sprzątnąć.

Jej rozbiegany wzrok i wariactwo w oczach niejedną osobę mogłyby przerazić. Ja już zdążyłam do tego przywyknąć.

Mama porzuca lodówkę i kieruje się do szafki nieopodal. Otwiera ją, sięga po jeden z talerzy, a potem z rozmachem rzuca go na kafelki. Odłamki rozpryskują się na podłodze. Dopiero teraz dostrzegam, że ona także jest boso. Jeszcze moment, a pokaleczy sobie stopy. O ile już tego nie zrobiła.

– Mamo – odzywam się. – Mamo, co ty robisz?

Zatrzymuje się w półkroku i gwałtownie obraca głowę w moją stronę.

Patrzy na mnie ze wściekłością. Patrzy tak, jakbym była diabłem wcielonym. Jakbym to ja była odpowiedzialna za wszelkie zło tego świata.

Do tej wściekłości też już zdążyłam się przyzwyczaić, choć za każdym kolejnym razem, gdy taki atak się u niej pojawia, coś ściska mnie w głębi serca. Takie sytuacje odgrywają na moich wewnętrznych strunach bolesną i przejmującą melodię.

– Gdzie to jest? – warczy, nie odrywając ode mnie spojrzenia. – Gdzie to schowałeś?

– Czego szukasz? – pytam spokojnie.

– Ukradłaś moją obrączkę! – podnosi głos i wpatruje się we mnie dziko, unosząc przy tym prawą dłoń. – Nie mam jej na palcu!

Powoli kręcę głową.

– Niczego nie ukradłam, mamó. Chodźmy do pokoju, wspólnie jej poszukamy.

Jestem niemalże pewna, że jej złota obrączka znajduje się w szkatułce wraz z inną biżuterią. Mama przecież od lat nie miała jej na dłoni. Zdjęła ją kiedyś z wielkim trudem i schowała, mówiąc, że puchną jej palce i ciężko jej nosić ten krążek – symbol małżeństwa z moim ojcem, który porzucił nas, gdy byłam pięcioletnią dziewczynką. Teraz mam prawie trzydzieści lat i zupełnie nie pamiętam tego mężczyzny. Nie znam go. Nawet nie wiem, czy żyje.

I nie mam bladego pojęcia, dlaczego mama dawno temu nie wyrzuciła tej obrączki w diabły.

– Musiałaś ją ukraść, ty kłamliwa dziewczucho!

Rusza w moją stronę, a jej stopy natrafiają na odłamki szkła. Wydaje z siebie cichy jęk bólu. Natychmiast podchodzę do niej i chwytam ją, by pomóc ostrożnie przejść po podłodze, która lepi się teraz od rozwalonych jogurtów, musztardy i cholera wie czego jeszcze.

Na szczęście pozwala zaprowadzić się do sypialni, a ja cicho wzdycham.

– Oddawaj moją obrączkę – mamrocze pod nosem.

Zapalam niewielką lampę i biorę z komody jej szkatułkę. Przez moment w niej grzebię, aż natrafiam na obrączkę.

– Proszę.

Zamaszyście ją ode mnie przejmuję, jakby w obawie, że znów mogłaby stracić ją z oczu. Zakłada na najmniej-
szy palec prawej dłoni, bo na serdeczny się nie mieści.
Obserwuję, jak jej twarz powoli przestaje wykrzywiać
się ze złości. Zamiast tego na jej ustach pojawia się lek-
ki uśmiech.

– Może wybrać ci nową piżamę do spania? – pytam.

Przez chwilę mruga powiekami, jakby wybudzała się
z transu. Spogląda w dół, na poplamioną koszulę nocną
i marszczy brwi.

– Na miłość boską – wzdycha. – A czym ja się tutaj
wybrudziłam?

I ot tak, Renata Tarnowska znów jest sobą. Podno-
si wzrok i spogląda na mnie ze szczerym zdziwieniem.

– Co się stało, Inga? Jest środek nocy. Czemu nie
śpisz?

Gdybym jej teraz powiedziała, że przed momentem
zrobiła w kuchni armageddon, to w życiu by mi nie
uwierzyła. Dlatego wydaję z szafy czystą koszulę noc-
ną i odkładam na jej łóżko.

– Przebierz się, mamó – mówię cicho. – Dobranoc.

Wychodzę z jej sypialni, zamykając za sobą drzwi.
Przez chwilę stoję w bezruchu i przysmykam powieki.
Biorę w płuca głęboki oddech.

Wszystko zaczęło się jakieś trzy lata temu, bardzo
niewinnie. Z początku zauważyłam, że mama traci wá-
tek, kiedy coś mi mówiła. Zaczyna zdanie z zamiarem

poinformowania mnie o czymś, a kilka sekund później już nie pamięta, co chciała przekazać. Albo pyta mnie wielokrotnie o to samo. Irytowałam się wtedy nieludsko, bo ileż razy w ciągu jednej godziny można powtarzać komuś to samo zdanie. Odkładała także przedmioty nie na swoje miejsce, a później nie potrafiła ich znaleźć. Zapominała, jaki mamy aktualnie dzień tygodnia.

Kiedy pewnego razu stwierdziła, że nie wie, jak obsłużyć pralkę, którą mamy w mieszkaniu od ponad dziesięciu lat, zrozumiałam, że coś jest nie w porządku.

Wtedy zasugerowałam jej wizytę u neurologa. Ona, ku mojemu zdziwieniu, niemal od razu się zgodziła.

Nie chciało mi się wierzyć, kiedy lekarka postawiła diagnozę. Choroba Alzheimerera. Myślałam, że dopada to ludzi w podeszłym wieku, a moja mama nie miała jeszcze nawet sześćdziesiątki. Dowiedziałam się wtedy, że istnieją przypadki, gdy spotyka to czterdziesto-, a nawet trzydziestolatków.

Wdrożyliśmy leczenie i cykliczne wizyty u lekarza, ale miałam pełną świadomość, że ta choroba się nie cofnie. Tego nikt już nie zatrzyma. To będzie postępować.

I postępuje. Z tygodnia na tydzień. Z miesiąca na miesiąc.

Bywa czas, kiedy mama przez kilka dni z rzędu jest całkowicie sobą, a potem przychodzi odwrót i w jednej chwili wszystko się zmienia. Rzadkością jest teraz, by sama wyszła zrobić zakupy, bo mogłaby mieć kłopot z powrotem do domu. Już niejednokrotnie to

przerabiałśmy. Zna nasze miasteczko jak własną kieszeń, przecież mieszka tu od urodzenia, ale gdy zawładnie nią choroba, dostaje mgły mózgowej i nagle nie rozpoznaje otoczenia. Rok temu przestała pracować. Od kilku miesięcy nie widuje się nawet ze swoimi dawnymi znajomymi. Stała się apatyczna i przygnębiona, mniej pewna siebie. Czasami robi się też agresywna.

Przeczytałam wystarczająco dużo artykułów i książek na ten temat, by wiedzieć, czego mogę się spodziewać. I z całą pewnością nie jest to różowa przyszłość.

Na ostatniej wizycie lekarka zasugerowała, bym pomyślała o całodobowej opiece dla mamy – choroba rozwija się w takim tempie, że być może niedługo taka pomoc będzie potrzebna.

Ale nie możemy sobie na to pozwolić.

Wiem, że będę z mamą aż do końca.

*

Patrzę na swoje odbicie w łazienkowym lustrze i próbuję zakryć korektorem sińce pod oczami. Położyłam się z powrotem do łóżka po czwartej nad ranem, gdy już posprzątałam całą kuchnię, ale i tak nie potrafiłam zasnąć. Przewracałam się jedynie z boku na bok, nasłuchując, czy mama nie kręci się przypadkiem po mieszkaniu. Na szczęście, gdy opuściłam jej sypialnię, musiała od razu usnąć.

Teraz jest kwadrans po siódmej, a ja szykuję się do pracy.

Ostatni raz przejeżdżam szczotką po blond włosach i spinam je w zwykły kucyk. Idę do kuchni i biorę łyk kawy. Zaparzyłam ją, zanim poszłam wziąć szybki prysznic, więc jest już letnia. Piję ją duszkiem, by dostarczyć organizmowi choć trochę energii. Podejrzewam, że dzisiaj walnę sobie niejedną dolewkę kofeiny.

Nasze mieszkanie jest niewielkie, ale dla naszej dwójki wystarczające. Mamy z mamą osobne sypialnie plus salon, w którym ona przesiaduje praktycznie przez cały dzień i właśnie teraz to robi.

Renata Tarnowska jest religijną kobietą, dlatego pokój jest niemalże po brzegi wypełniony dewocjonaliami. Na starej meblościance z PRL-u, zajmującej całą jedną ścianę pomieszczenia, można znaleźć kilka różnych wydań biblij, figurki maryjek, krzyże, medaliki, a nawet wodę z Lichenia zamkniętą w plastikowej, niebieskiej formie przedstawiającej Matkę Boską. Na ścianie wisi obraz Jana Pawła II. Na regałach ustawione są ramki ze zdjęciami, na których można zobaczyć małą mnie, przystępującą do pierwszej komunii świętej albo z okazji innych, ważnych dla mamy, uroczystości.

Czasami, przebywając w tym pokoju, mam wrażenie, jakbym miała się zaraz udusić. Ta bogobojna otoczka, specyficzny zapach tych przedmiotów, przerażające poczucie, jakby zaraz któraś z figurek mogła ożyć i się

do mnie zbliżyć... to wszystko sprawia, że robi mi się niedobrze.

Ale nawet gdybym chciała odświeżyć to wnętrze, zrobić jakikolwiek gruntowny remont, którego – poza jakimiś drobnymi naprawami – na dobrą sprawę nie robiłyśmy właściwie nigdy, to nie mogłabym. Mama dostałaby szału, gdybym wyrzuciła choć jedną rzecz. Gdybym pozbyła się choć jednej pierdolonej figurki, grunt usunąłby się jej spod stóp.

Dlatego nie robię nic. Przysmykam oczy i po prostu żyję w tym religijnym sanktuarium, które dla nas stworzyła.

Patrzę na mamę. Siedzi w fotelu, uparcie wpatrując się we włączony telewizor. Jest spokojna. Zachowuje się jakby nigdy nic. Jakby w nocy nie zawładnęło nią szaleństwo. Na jej palcu znów próżno szukać obrączki. Na kolanach trzyma talerz z chałką, którą bezrefleksyjnie rozrywa palcami. Mam nadzieję, że uda jej się coś z tego zjeść. Nie mam już czasu, by tego dopilnować.

– Potrzebujesz czegoś, zanim wyjdę? – pytam.

Kręci głową.

– Zaraz będzie ten program, o którym ci opowiadałam – rzuca. – Bardzo chcę go obejrzeć.

Jej oczy iskrzą podekscytowaniem, niczym u małego dziecka. Doskonale wiem, co to za program. Wcale nie jest żadną nowością ani wielką atrakcją. To zwykła śniadaniówka na dwójce, którą ogląda od wieków.

– Gdyby coś się działo, to zadzwoń do mnie albo pójdz po pana Janka, dobrze?

Mama ma mnie w telefonie w szybkim wybieraniu, ale tak naprawdę, gdyby coś się stało, nie mam pewności, czy zdołałaby do mnie zadzwonić. Jeszcze nie zdarzyło nam się przerabiać takiej sytuacji. Zazwyczaj, gdy do mnie dzwoni, nic się nie dzieje. A przynajmniej nic poważnego. Janek Komasa mieszka piętro wyżej. Pracował kiedyś razem z mamą i wiem, że mogę mu ufać. Jest ojcem Grześka, z którym chodziłam do szkoły.

Mama odgania mnie ruchem dłoni, jakby chciała powiedzieć, żebym jej nie przeszkadzała. Mnie to pasuje, bo nie mam zamiaru spóźnić się do pracy.

Podchodzę jeszcze do okna i wyglądam na zewnątrz, sprawdzając pogodę. Wygląda na to, że zapowiada się ładny dzień. Wodzę jeszcze spojrzeniem po otoczeniu. Mamy stąd doskonały widok na niemalże całe nasze osiedle. Widzę, jak sąsiadka wraca z zakupów, obładowana siatkami. Z tego co wiem, niedługo ma do niej przyjechać córka z mężem i dwójką dzieci, więc pewnie robi zapasy. Drugi sąsiad wyszedł właśnie z psem na spacer. Jeśli znów nie posprząta odchodów po swoim zwierzątku, to na klatce schodowej pojawi się kolejna karteczka z żądaniem, by „sprzątać te cholerne kupy”, którą każdy będzie mógł przeczytać. Dostrzegam także czarne bmw Grześka Komasy, które właśnie odjeżdża z parkingu. Widzę dzieciaki z plecakami na plecach, które idą

nieprędko do szkoły – do tej samej podstawówki, do której i ja chodziłam przed laty i którą mogę dojrzeć z tego okna. Gdy byłam mała, cieszył mnie fakt, że miałam tak blisko na lekcje. Mogłam pospać dłużej niż inne dzieci.

Dopada mnie jakaś dziwna nostalgia na myśl o bez-troskim dzieciństwie, ale czym prędzej odpieram od siebie jakiekolwiek obrazy z przeszłości.

Rzucam mamie ostatnie spojrzenie. W dalszym ciągu wpatruje się w telewizor, idę więc do przedpokoju. Zakładam dzinsową katanę oraz tenisówki i wychodzę z mieszkania.

Zbiegam z pierwszego piętra na parter i otwieram drzwi do pomieszczenia, w którym mieszkańcy trzymają wózki albo rowery. Zgarniam swój miejski rower w kolorze mięty z plecionym koszykiem na przodzie i wychodzę z nim na zewnątrz. Od razu wskakuję na siodełko i ruszam.

Zaciągam się rześkim wrześnieowym powietrzem. Mieszkam tutaj od urodzenia, od niemalże trzydziestu lat, więc opary smogu, które łaskoczą mój nos, nie robią już na mnie wrażenia. Spoglądam na Góry Złote, rozciągające się przede mną i oddzielające nas od granicy z Czechami. Dostrzegam pojawiające się tam kolory. Dostrzegam zmiany w przyrodzie. Już wiem, że rozpoczyna się piękna jesień.

Natura jest zachwycająca. Natura jest kocem, który zakrywa wszelkie zanieczyszczenia. Chroni ten brud, który gromadzi się pod powierzchnią. Wysuwa się na

samą górę i gdy jesteśmy nieuważni, nie dostrzegamy tego, co znajduje się głębiej.

Wyjeżdżam z naszego osiedla przy ulicy Chemiczków, mijam spożywczaka, którego pamiętam od zawsze i w którym w dzieciństwie kupowałam chrupki Bingo, i skręcam w prawo w ulicę 3 Maja. Wkrótce zatrzymuję się na skrzyżowaniu i przepuszczam samochody, jadące w kierunku Kłodzka. Pedalując dalej w stronę rynku, mijam kilka osób idących chodnikiem i bezrefleksyjnie mówię im „dzień dobry”.

Według statystyki z Wikipedii żyje tutaj niespełna dwa i pół tysiąca ludzi. W rzeczywistości ta liczba jest o wiele niższa – młodzi wyjeżdżają w świat, a to miejsce z roku na rok coraz bardziej się starzeje. Czasami zastanawiam się, czy nasze miasto przypadkiem kiedyś nie zniknie.

I nasuwa mi się refleksja, że gdyby rzeczywiście tak się stało, to... nie byłby to koniec świata. Może byłby to jakiś nowy początek.

W takich miasteczkach, jak Złoty Mrok na Dolnym Śląsku, wszyscy znają ciebie, a ty znasz wszystkich. Ale to tylko pozory. Tak naprawdę możesz znać kogoś od zawsze, ale w rzeczywistości nic o tej osobie nie wiesz. Plotki, domysły i przeinaczanie faktów to główne źródło wiedzy. Jeśli w dzieciństwie rodzice powiedzą ci, że Kwiatkowska z trzeciego bloku to jebana złodziejka, to już do końca życia będziesz o tym pamiętać. Za złodziei będziesz uznawać nawet jej dzieci oraz wnuki. Jeśli

znajoma sprzedawczyni w sklepie spożywczym, w którym od zawsze robisz zakupy, powie, że widziała, jak stary Frączek prowadzi się po kryjomu z młodą Lusicką, to uznasz to za prawdę objawioną i powtórzysz dalej. Jeśli pół osiedla jest przekonane o tym, że córka Sobczaków jest dziwką, bo zmienia chłopaków jak rękawiczki, to dokładnie taki przydomek jej się należy. Aż do śmierci, no bo przecież później o ludziach nie można mówić źle. A jeśli Gawronom ktoś podpali stodołę, to automatycznie wina spadnie na tego niewychowanego nastoletniego diabła z ukraińskiej rodziny, która przeniosła się tutaj, gdy za naszą granicą wybuchła wojna – bo przecież nikt inny nie byłby do tego zdolny. A ty nie znizysz się nawet przed samym sobą, by poznać drugą wersję.

W obecnym czasie łatwiej jest uleczyć pokoleniową traumę niż pokoleniowe ocenianie innego człowieka.

Przejeżdżam przez rynek, mijam centralny budynek urzędu miasta i wjeżdżam w ulicę Wojska Polskiego, przy której znajduje się główne skupisko handlowe. To właśnie tutaj znajdziemy wszystko, czego potrzebujemy. Sklep spożywczy? Oczywiście. Lumpeks? Jasna sprawa. Oddział banku? Jak najbardziej. Kosmetyki i chemia gospodarcza? Proszę bardzo. Alkohol? Pewnie, że tak. Zakład pogrzebowy? Koniecznie.

Jednak życie toczy się tutaj do godziny szesnastej. Później ta ulica, jak zresztą każda inna, staje się niemalże wymarłą.

Jadę w kierunku kościoła, który góruje nad miastem niczym sędzia ostateczny. To nie jest jeden z tych uroczych kościółków, który często możemy minąć, przejeżdżając przez jakieś małe, nieistotne miasteczko. To olbrzym. Wielka, nieosiągalna, majestatyczna góra, która ma wzbudzać we wszystkich respekt. Albo strach. Semantyka.

Mijam budynek, jadę drogą prowadzącą do Łąka Zdrój i w końcu zatrzymuję się przed pensjonatem, w którym pracuję.

Nasze miasto jest najstarszym ośrodkiem górniczo-hutniczym na terytorium Polski. Ostatnią kopalnię rud arsenu zamknięto w drugiej połowie dwudziestego wieku. Straciliśmy na znaczeniu jako ośrodek przemysłowy, ale zyskaliśmy, jeśli chodzi o turystykę.

Tak... Turyści jako jedyni ratują tutaj naszą sytuację. Uważają nasze miasteczko za malownicze. A my, jeśli chcemy, malowniczo potrafimy ich w tym przekonaniu utwierdzić. Gdyby nie oni, już dawno zabito by nas deskami, a nasza historia rozwiałaby się na wietrze.

W miejscu, w którym obecnie znajduje się pensjonat, w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku funkcjonował stok narciarski, który wybudowano dzięki zaangażowaniu lokalnego zakładu pracy. Jednak wyciąg nie przetrwał próby czasu. W latach dziewięćdziesiątych zamknięto go, a pozostałości infrastruktury wkrótce rozkradziono. Jak przez mgłę pamiętam, że – już po roku

dwutysięcznym – jako mała dziewczynka zjeżdżałam z tej góry na plastikowym jabłuszku albo na sankach.

A teraz tutaj pracuję.

Budynek wygląda naprawdę przepięknie – to jedna z najlepszych opcji noclegowych w Złotym Mroku. Dwupiętrowy z poddaszem, na którym znajduje się najlepszy pokój, zwany apartamentem. Wykonany z drewnianych bali, uroczy. Przypomina jakąś góralską willę, w której można się zrelaksować i schronić przed całym światem. W środku działa także restauracja – głównie dla gości pensjonatu, ale ludzie z zewnątrz także mogą tutaj przyjść. Właścicielka pensjonatu, pani Adrianna, dostała unijną dotację na stworzenia tego miejsca i co chwilę wymyśla nowe udogodnienia dla klientów. Sauna, jacuzzi, warsztaty ceramiki – to tylko niektóre z nich.

Zsiadam z roweru i przypinam go do odpowiedniego miejsca na parkingu. Spoglądam na zegarek. Jest za dziesięć ósma. Wchodzę po schodkach na sporych rozmiarów taras, otwieram ogromne, drewniane drzwi wejściowe, na których estetycznie wyżłobiono nazwę pensjonatu, i przekraczam próg. Od razu wita mnie Aneta, która siedzi za kontuarem recepcji i pewnie nie może się mnie już doczekać, bo właśnie przybyłam, by ją zmienić. Spędziła tutaj nockę i z całą pewnością wynudziła się jak zła. Podczas nocnych zmian tak naprawdę nic się nie dzieje, ale i tak trzeba być ciągle na czujce.

– Cześć – mówię, posyłając jej uśmiech. – Dałaś radę?

– Dałam, dałam – odpowiada od razu. – Przeczytałam nowy romans, na który czekałam od kilku miesięcy.

Uśmiecham się do niej. Aneta jest znana ze swojej miłości do romantycznych historii. Wydaje mi się, że mimo wszystko uwielbia te nocne zmiany, bo poza czytaniem nie robi nic innego.

– Jaki status? – pytam.

– Kuchnia jak zawsze ogarnia teraz śniadanie. Babka spod trójki zgłaszała problem z ciepłą wodą, ale Romek już to ogarnął. Ktoś usunął na dzisiaj rezerwację jedyńki, a ta para z apartamentu poprosiła o przedłużenie godziny wymeldowania.

Marszczę brwi.

– Do tego apartu dziś przyjeżdża nowa para – mówię.

Aneta macha ręką i zgarnia wszystkie swoje rzeczy z lady. Telefon, czytnik, pusty kubek po herbacie.

– Sprzątaczkę powiedziały, że wyrobią się ze sprzątniem – rzuca.

Kiwam głową. Skoro babki od sprzątnia tak powiedziały, to tak będzie. Zawsze zasuwały jak mróweczki. A dostają najniższą pensję. Taka kolej rzeczy.

– Aha! – dodaje Aneta, kiedy zamieniamy się miejscami. Ścisza głos i mówi: – Szefowa przyjechała.

Wskazuje kciukiem na salę restauracyjną, którą częściowo widać z recepcji. Podążam za jej gestem i widzę Adriannę. Ma na nosie wielkie bordowe okulary w grubych oprawkach, które zawsze przykuwają uwagę. Rzadko się tutaj pojawia. Dzieli życie pomiędzy Złoty Mrok

i Wrocław, w którym mieszka na co dzień. Do pensjonatu przyjeżdża trzy do czterech razy w miesiącu. Tak sobie wyszkoliła ekipę, że nie musi czuwać nad biznesem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie jest stąd, pochodzi z Wrocka. Według wielu mieszkańców miasteczka jest obca, bo się tutaj nie wychowała. Kogo obchodzi fakt, że dzięki jej działalności pojawiają się tutaj turyści i poniekąd miasto na tym zyskuje? Taka kategoria myślenia rzadko się tutaj sprawdza.

Akurat teraz siedzi przy jednym z mniejszych stolików, nieopodal kominka, w którym płonie niewielki ogień, a przed nią rozłożone są papiery. Popija poranną kawę.

Na myśl o kawie mój żołądek daje o sobie znać. Za chwilę będę musiała zaopatrzyć się w kolejny zastrzyk kofeiny.

Żegnam się z Anetą, a ona wypada z pensjonatu jak burza.

Rozgaszczam się za recepcją i przygotowuję do mojej zmiany. Sprawdzam dzisiejsze rezerwacje. Patrzę, który pokój ma się dziś wymeldować. Sprawdzam dzisiejsze restauracyjne menu. Analizuję godzinową pogodę na dziś dla Złotego Mroku i okolic, by w razie potrzeby móc polecić gościom odpowiednie atrakcje.

Po chwili podnoszę wzrok i napotykam na sobie spojrzenie Adrianny. Jest czujne, oceniające, niepokojące... Ale bardzo szybko jej usta rozciągają się w uśmiechu

i radośnie macha do mnie dłonią. Odwzajemniam jej uśmiech.

Ciekawe, czy długo mnie tak obserwowała bez mojej wiedzy.

Co sobie myśli, gdy na mnie patrzy? Jakie sekrety skrywa i czy mogłabym je poznać?

*

Dobiega piętnasta, gdy kątem oka dostrzegam, że frontowe drzwi pensjonatu się otwierają. Kieruję wzrok w tamtą stronę.

Do środka wchodzi kobieta, a tuż za nią mężczyzna z dużą, markową, czarną walizką w dłoni. Oboje muszą być ode mnie kilka lat starsi, na oko dobiegają czterdziestki.

Skupiam uwagę na kobiecie. Ma kasztanowe włosy, które w świetle słońca lśnią rudawymi refleksami. Wygląda poważnie i elegancko. Nosi beżowy płaszcz, który pewnie kosztował moje dwie wypłaty. Wiem, że nigdy bym sobie na niego nie pozwoliła, nawet jeśli miałabym nadmiar kasy. A nie mam. Na płatkach jej uszu dostrzegam małe perłowe kolczyki. Skromne, ale z pewnością drogie.

Zauważa, że zbyt długo jej się przyglądam, dlatego odwracam spojrzenie od jej delikatnego makijażu oraz czerwonej szminki i przez chwilę oceniam wzrokiem jej towarzysza.

W tym mężczyźnie wszystko jest idealne – zaczynając od ciemnych włosów ułożonych w nonszalancki sposób, szczęki z kilkudniowym zarostem, ciemnego płaszcza, spod którego wystają koszula oraz spodnie w kant, a kończąc na eleganckich butach.

Ale nauczyłam się, że idealność bywa złudna.

Oboje podchodzą do recepcji. Kobieta wpatruje się teraz we mnie tak, jakby chciała przejrzeć moje myśli na wylot. Mężczyzna odstawia walizkę, wodzi przez moment wzrokiem po całej przestrzeni, aż wreszcie, pierwszy raz od czasu, gdy tutaj wszedł, skupia uwagę na mnie.

Mój żołądek skręca się w supeł.

W tych oczach jest coś, co mnie przeraża.

Jednak nie pozwalam, by którekolwiek z nich dostrzegło we mnie jakąś zmianę. Teraz, tutaj, jestem recepcjonistką. Wyszkoloną pracownicą, która nie powinna wzbudzać w gościach jakiegokolwiek dyskomfortu. Jestem miłą, przyjazną, uprzejmą, pomocną, bezimenną osobą.

– Witamy w Pensjonacie pod Złotym Stokiem – uśmiecham się. – W czym mogę pomóc?